Janina Łagoda

Polskie społeczeństwo znalazło się w cyklonie mocy moderujących relacje międzyludzkie wedle nieodgadnionych obrachunkowych wyznaczników, co musi niepokoić, a i przerażać. Głosy o potrzebie narodowego pojednania giną w tumulcie waśni. Wydawałoby się, że blisko trzy dekady od początku wolnościowej transformacji, to wystarczający czas, aby wzmocnić fundamenty jedności. Jest inaczej. Kraj dryfuje na topliwej krze, tworząc sprzyjające warunki do pogrążenia się w kipieli despotyzmu, zatracając demokratyczne zdobycze. Antagonizowanie rodaków stało się znakiem firmowym dobrej zmiany. Dzieje się to po części za obywatelskim przyzwoleniem, co napawa smutkiem. Dotychczasowy skutek taki, że polityczne spory zstąpiły pod strzechy, gmatwając pogodę nawet przy rodzinnych biesiadnych stołach. Konsekwencje swarliwości mają wystarczająco dobitne opisy w annałach historii Rzeczpospolitych, zwłaszcza tej szlacheckiej, ale późniejszych również. Okazuje się, że tęsknota za dawnymi laty jest ogromna mimo odnotowanych sromot w tamtych czasach. Ułomności te, w przekorze do roztropności stały się naszymi imponderabiliami (łac. imponderabilis – nie dający się zważyć), których wprawdzie nie sposób zmierzyć, obliczyć, uchwycić w realnych kształtach etc., to jednak bezwolnie się wpisują w naszą doczesność, mimo że wyczuwamy niebezpieczeństwo zakodowane w ich kopiowaniu. Z szaleństwem jak i samobójczą psychozą można się oswoić. Dla wielu rodaków to chleb powszedni.

Lata 80. ubiegłego wieku

Schyłek jałtańskich globalistycznych układów dostarczył paliwa tlącym się przez lata wolnościowym aspiracjom. Przebieg owych zachowań to sinusoidalna grafika, której poszczególne punkty naznaczeń nadal są przywoływane w pamięci, dokumentowane i analizowane. Rzecz w tym, aby nie działo się to pod partyjną egidą moderującą prawdę wedle wygodnych jedynie słusznych kryteriów, a to częste zakusy politykierów. Zamazywanie faktów, ich deprecjonowanie, lekceważenie etc. są niemal wzorcowym zaczynem ognistych sporów o nieogarnionych przesłaniach, które siłą rozpędu generują kolejne inwazyjne plagi i niweczą życzliwe oferty płynące z różnych stron krajowego wnętrza, ale ze świata również. Problem w tym, że rządzący je ignorują w prymitywnej procedurze. Arogancja przyspawała się do dobrej zmiany, co wieszczy zło.
Lata 80. poprzedniego wieku zostały usłane rozterkami wobec wyboru ustrojowej formuły, która miała być w pełni zależna od woli ludu: socjalizm tak, wypaczenia nie. Slogan sformułowany w atmosferze wolnościowej aury sierpnia 80. przez tych, którzy z różnych motywów okupowali barykady, a było ich blisko 10 mln. Politykierskie manipulacje spowodowały, że owe hasło w praktycznym wydaniu potęgowało gorycz społeczeństwa. Moduły jedności, a były nimi głównie problemy bytowe, mniej światopoglądowe, co zidentyfikowano w tyglu tamtych namiętności. Także tym razem praktyka zwekslowała ideę socjalizmu z ludzką twarzą na bezwzględny kapitalizm. Historia zatoczyła koło, bogacąc się o nowe fakty. I jak to u nas zwykle bywa walczymy o inną ideę, a prokurujemy inną. Sporo w tym analogii chociażby do zamierzonego przez zarządcę państwa wyegzekwowania od granicznego zachodniego sąsiada niewyobrażalnych odszkodowań za skutki września 1939 roku. Tymczasem USA i Izrael wszczęły batalię o wypłacenie przez Polskę stosownych rekompensat dla swoich obywateli,

którzy utracili mienie w wyniku powojennych przeobrażeń ustrojowych w Polsce. Takie są konsekwencje prowadzenia polityki zagranicznej z pozycji nowogrodzkich zakamarków odseparowanych od międzynarodowej społeczności, ale także od nieznajomości już dawno traktatami uregulowanych kwestii oraz obowiązującego polskiego prawa własności. I tym razem zaścianek karnymi odsetkami zaprocentował.
Zasadniczą formą objawiania negacji wobec powojennego systemu było wszechobecne strajkowanie, mające stanowić remedium na pozbycie się zła. Tej psychozie uległo wielu, ale niewielu zdawało sobie sprawę ze skutków takiej formy walki z własnym państwem, i to w przełomowym momencie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Piłowanie gałęzi, od której jest zależny byt, to samozatracenie. Żądanie wyższych płac i bogatej detalicznej towarowej oferty przy powstrzymywaniu się od wytwarzania dóbr, niszczenia kooperacyjnych więzi, także w obrocie zagranicznym było absurdem, zwłaszcza w gmatwaninie niezidentyfikowanych, lecz wyczuwalnych zmian jakie będą następowały w ustrojowych fundamentach państwa. Kraj nadal pozostawał na uwięzi Związku Radzieckiego, a więc w niemocy do momentu, kiedy hegemoni uścisnęli sobie dłonie kładąc kres Jałcie i zimnej wojnie. Był to omen dla państw tzw. demokracji ludowej, aby zastanowić się nad pragmatycznym wyborem nowej ustrojowej formuły. Różne były tego sposoby od radykalnych, jak przykładowo w Rumunii, kiedy stracono dotychczasowego przywódcę uważając, że strzał karabinowy rozwiąże problem, po próby poszukiwania ewolucyjnego sposobu modyfikowania istniejącego polityczno-gospodarczego systemu.
W polskim przypadku też nie znaleziono cudownego środka, ale objawiła się roztropność, co w annałach Rzeczpospolitej jest przypadłością unikatową. Zazwyczaj dominowały krwawe powstańcze klęski, a rozum zniewalała romantyczna ekscytacja. Tym razem było inaczej. Rządzący i opozycja powściągnęły emocje i zaaprobowały pomysł Okrągłego Stołu, a więc rozmowę przy zdeponowanych w szatni karabelach. Sukces ogromny, ale im dalej od niego tym bardziej postponowany, bo zbrakło krwi. Nie ma mogił, pomników, egzaltowanych opowieści, mityngów żałobnymi wieńcami kraszonych, porywających oracji etc.
Cynizmem jest czynienie okrągłostołowcom zarzutu zdradzieckich konszachtów w stylu, że ówcześni rządzący podzielili się władzą ze swoimi tajnymi agentami z solidarnościowego obozu. Trudno nazwać tę ekspiację zdroworozsądkową, a już na pewno nie uczoną w wydaniu urzędowego doradcy głowy państwa, mającego problemy z belwederską profesorską nominacją. Konweniuje to jednak z polityczną wykładnią stosunku dzisiejszego obozu władzy do tamtych uzgodnień. Zamiast radować się skutecznością politycznej biesiady, deprecjonuje się w ohydnym stylu jej ważność. Paradoksem jest to, że dobra zmiana, sceptyczna wobec skuteczności ówczesnych rokowań, zamierzając dzisiaj rozwiązać jakąś bieżącą trudną społeczną kwestię przywołuje na pamięć Okrągły Stół, jak chociażby ostatnio w sprawie edukacji. Masowość stosowania tej nośnej i racjonalnej formuły w rozwiązywaniu sporów prowadzi ku zmiękczaniu jej pierwowzoru. Solidarność i Okrągły Stół, to dwa znaki firmowe, dwa patenty wpisane w ustrojową transformację i winny być na swój sposób strzeżone przed tandetnym ich wykorzystywaniem oraz swobodnymi interpretacjami, jako że wszystko późniejsze, łącznie z czerwcowymi wyborami roku 1989 było nasączone okrągłostołowym duchem solidaryzmu. Zatem wcale niedorzeczną sugestią jest, aby każdy zamysł rozwiązywania bieżących problemów społecznych w tej formule posiadał przynajmniej odnośnik do oryginału oraz spełniał podstawowe kryteria jego wzniosłości, a nie był karykaturą pognębianą przez stawianie znaku równości pomiędzy kołem i prostokątem. Raptem okazuje się, że Euklidesowi (ok. 365 - ok.270 p.n.e.), uczonemu od geometrii, wyrósł konkurent i to w

randze premiera rządu RP.
Ogromnym sukcesem było dogadywanie się rządzących z opozycją. Zszywką był znak Solidarności. Wówczas chodziło o ustrojowe pryncypia, tj. nowy model państwa, a w nim ważą w szczególności reguły wyborów parlamentarnych, prezydenckich oraz zasady formowania rządu i nade wszystko naznaczenie kierunku pomnażania duchowego i materialnego bogactwa narodu. Początek wionął optymizmem, lecz po niewczasie nastąpiła atomizacja negatywnych refleksji wobec tamtych uzgodnień. Górę wzięło sobkostwo. Dawna władza zasiadająca przy Okrągłym Stole dotrzymywała słowa, ale wkrótce stanęła pod pręgierzem oskarżeń ze strony opozycyjnych adwersarzy i poddana rozliczeniowej procedurze, która różnymi odcieniami się mieni. Główny trzon tych zarzutów jest taki, jakoby PRL była wymysłem rodaków rządzących po 1945 roku, a jałtańskie ustalenia zaledwie krymską anegdotą. Nadal trwa kasandryczny taniec wokół tych, którzy tworzyli powojenną materialno – intelektualną bazę. Ostatnio nabrał wigoru i tamte ważkie przystołowe pojednania stały się strzelniczą tarczą dla nowogrodzkich snajperów, którzy na szczęście coraz częściej pudłują, a rykoszety bywają obosieczne i ranią także miotających tymi bełtami.
Okres powszechnej, spontanicznej Solidarności i Okrągłego Stołu, zamykający sukces tamtych lat waży na współczesności i z tej przyczyny winien być nimbem otaczany. Niestety, dzisiaj nie ma respektu dla nieodległych historycznych zaszłości, a już na pewno do ich adorowania, co wyraziście się objawiło podczas 30. rocznicy czerwcowych wyborów (4.6.1989 r.). Niepokoi to, że obóz rządzący w niewytłumaczalnej zawiści utożsamia ówczesny pojednawczy sukces z narodową zdradą. Apodyktyczność i egoizm dzisiejszych władców w myśleniu o polskich meandrach przeraża, a w intelektualnych objawach coraz bardziej przypomina koktajl fragmentów dawnego systemu z butnym zarządzaniem państwem. Gorzej, bo jak za dawnych lat bywało, wszystko jest podporządkowane dosłownemu realizowaniu nawet mimowolnego gestu partyjnego guru. Może to jeszcze nie kult jednostki, ale bliskie mu pobratymstwo.

O dylematach

Nieliczne społeczne konsensusy między rodakami, jakie miały miejsce na przestrzeni dziejów, a o czym historia donosi, były zazwyczaj bliskie efemerydzie. Sprawiało to kłopoty rządzącym. Po chwilowych zachwytach górę brała wszechobecna podejrzliwość i złośliwe, samobójstwem trącące dezawuowanie sukcesów, a co już trudne do zgłębienia, także swoich własnych. Niezrozumiałe jest, że ktoś zasiadający wówczas przy meblu bez kantów, dzisiaj w niepojętym algorytmie neguje tamten wspólny triumf, zważywszy że biesiadnicy wstając od niego byli olśnieni polityczną roztropnością, tak własną, jak i adwersarzy. Opozycja weszła w sferę władzy, a rządzący bez wystrzału poskromili swój pozorny absolutyzm. Niezwykłość mebla polegała na tym, że zbudowany został jeszcze podczas obowiązywania jałtańskich rygorów, które wprawdzie dobiegały swoich dni, ale nadal tkwiła w nich nieobliczalność rannego zwierza. Z tego punktu widzenia Okrągły Stół był odważnym i rozsądnym przedsięwzięciem, wkraczającym w interesy spadkobierców krymskich hazardzistów, dla których niełatwą była decyzja o rezygnacji z niektórych globalistycznych interesów. Zachód popierał okrągłostołowy finał, a Wschód kluczył wokół podtrzymywania dotychczasowych sfer wpływów. Jedni i drudzy przeliczali wolnościowe odruchy państw mniejszych na własnych kalkulatorach nie zawsze wyposażonych w opcje uwzględniające prowizje dla uboższych. Dlatego też powściągliwość w formułowaniu wniosków podczas tamtych obrad ważyła o ich sukcesie. W owym momencie trudno byłoby sobie wyobrazić, aby przykładowo warszawski biały dom (siedziba władz PZPR –

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) wypełnił się z dnia na dzień tymi, którzy przez lata osaczali ideowe myśli stamtąd płynące. Kreml wówczas taki scenariusz wykluczał, a wiec ryzyko ogromne. Świat nadal grał na jałtańskiej partyturze nieco już podniszczonej, ale o rozpoznawalnej melodii. Mimo tych raf kurs okazał się poprawny. Kraj zaczął zmierzać ku nowemu, z tym że u nas karczowisk wiele i kłód dostatek.
Koncepcja trwania w socjalizmie (łac. societas – wspólnota) została odrzucona, co nie oznaczało, że państwo zostało uwolnione od socjalnych powinności wobec obywateli. Nadal trwają gorączkowe poszukiwania optymalnego modelu ograniczania biedy. Droga to żmudna, ale nie może się sprowadzać do trywialnego narzędzia służącego wyłącznie podbudowywaniu wyborczych wskaźników poparcia poprzez partyjne dysponowanie państwową, tj. podatników kiesą. Przesłaniem powodzenia tej propagandowej hucpy, po części słusznej, bo ograniczającej biedę, winno być skorelowanie rozdawnictwa z procesem skutecznego uzupełniania skarbu państwa złotówkami pozyskiwanymi w procesie wytwarzania i sprzedaży dóbr. A to trudne przedsięwzięcie. Dzisiaj rządzący poplątali kapitalizm z socjalizmem. Otóż z jednej strony okrutna ręka rynku zasila budżet państwa, natomiast partia rządząca bez skrupułów i w chropawych rękawiczkach transferuje ten urobek w różne strony nie wedle ekonomiczno-socjalnej skuteczności, lecz korzystnych dla niej wyborczych słupkowych przeliczników potencjalnego poparcia. Koncept odległy od idei dobra wspólnego, ale satysfakcjonujący prezesa partii rządzącej.
Z tego wynika, że wizjonerskie administrowanie państwem w wydaniu warszawskiej Nowogrodzkiej zasadza się na 4-5 letniej wyborczej perspektywie, a potem rżysko. Urąga to nawet planistycznym wizjom postponowanej peerelowskiej proweniencji, gdzie plany rozwoju państwa nie pozostawały w aż tak merkantylnej więzi z wyborczymi prognozami (obowiązywały wówczas plany 3-,5-,6- letnie etc.). Dzisiaj jest inaczej. Pęcznieje zastęp nierozważnych nawigatorów sterujących krajem. Przeznaczanie wspólnego finansowego urobku narodu na partyjne wyborcze dogrywki rządzącej partii jest nie tylko występkiem przeciwko regułom zarządzania budżetowymi zasobami, ale w równym stopniu oznajmia bojaźń władców wobec perspektywy ponownego zasiedlenia opozycyjnych ław. Potwierdzeń tego wiele, a klasyką jest obcesowa rozmowa prezesa z osobą niepełnosprawną zakończona prośbą guru, aby nas popierać, a nie przeszkadzać (Kraków, 30.4.2019 r.), kiedy to właśnie rządząca partia lekceważy społeczność kalekich współbraci. W tym momencie został przekroczony Rubikon arogancji i władczych aspiracji prezesa niepokojonego odchyleniami wahadła społecznej aprobaty dla jego populistycznych czynów. Wystarczający to powód do irytacji, a w takim stanie trudno o roztropne decyzje. Maksyma Machiaveliiego (1469-1527): cel uświęca środki nie zawsze prowadzi do sukcesu, ale do trwogi, to i owszem.
Impulsy pobudzania gospodarki ciągle pozostają na pułapie estradowych życzeniowych, nierzadko blagierskich, występów prezesa i premiera, a od tego dochody budżetu nie pęcznieją. Gorzej, bo wzmagają łaknienie obywateli i rozterki przedsiębiorców, a więc w równej mierze zjadaczy chleba i twórców tego wypieku. Koncept budowania ekonomicznej potęgi Polski w wydaniu dobrej zmiany, to urojona wizja, że Zachód wstrzyma swój rozwój do czasu aż nasz kraj będzie uprzejmy osiągnąć jego poziom. Nie sposób urealnić tych fantazyjnych myśli, bo dotąd nigdy się nie zdarzyło, abyśmy na przestrzeni dziejów dostatkiem prześcignęli poziom zachodniej egzystencji, a zwłaszcza tej najbliższej, niemieckiej. Tam o materialnych dobrach decyduje - w zrównoważonym partnerstwie - symbioza intelektu i ekonomii. Dotąd nie wymyślono praktyczniejszej drogi ku mocarstwowości. Państwo to zwarty, pulsujący organizm i wedle wszelakich badawczych prawideł winien być traktowany w jedności z dala od wyborczych

fanaberii. Nieodpowiedzialne dotknięcie jednego fragmentu chwieje scaloną konstrukcją. Rządzący ignorują tą oczywistą regułę, obnażając awersję do korelowania własnych czynów z dobrem wspólnym. Opętał ich obrazoburczy duch konfliktowania narodu. Ten ślepy zaułek pozostaje w przekorze do unijnych wspólnotowych zasad. Autarkiczne pomysły sprzeczne z sugestiami większości unijnego koleżeństwa prowadzą ku klęsce, ale trudno dostrzec zafrasowanie dobrej zmiany, bo klęskę potrafią odczytać jako sukces (np. brukselski pogrom 27:1 lub kolejny klimatyczny 28:4). W tej sytuacji logika (łac. rozum) jest bezbronna. Nie wiadomo czy z tymi paradoksami poradziłby sobie jej współtwórca, Arystoteles (384 – 322 p.n.e.).
Styl zarządzania państwem wznieca u wielu niedosyt z tej chociażby przyczyny, że władcy w ułańskim stylu delektują się rozdawnictwem złotówkowych zasobów, kiedy to rozsądne gospodarki wykorzystują koniunkturę dla dławienia krajowego deficytu, tworząc budżetowe nadwyżki na czas ewentualnej recesji, np. RFN. Tam też nie zapomina się o realizowaniu systemowej, a nie okazjonalnej samobójczej polityki socjalnej. Nadto nasi krótkowzroczni decydenci lekceważą cykliczność rozwoju ekonomicznego i w nieodgadnionym kontredansie, uskrzydlają się bezsensownym argumentem, że być może nie przekroczymy granicznego reżimu deficytu budżetowego naznaczonego w unijnych dyrektywach. Rząd niewiele czyni, aby zwierać nożyce niedoborów na korzyść zysków i lokować je w trafne gospodarcze przedsięwzięcia, a to klasyczny sposób na przeżycie ewentualnej stagnacji i nie odstępowania od realizowania rozsądnej opiekuńczej polityki. Niewypłacalność państwa, oby do tego nie doszło, to już niestety domena bezwzględnych globalnych komorników. Rzeczpospolita nie raz była przez nich strzępiona. Pora, aby nastał czas opamiętania, bo Polska, to ważna sprawa.

Imponderabiliów los

Bezkresność, niemierzalność, nieuchwytność etc., to przymioty atmosfery prowokowanej zdarzeniami zespolonymi z losami Ojczyzny, które swą enigmatycznością ważą na zachowaniach współczesnych. Rzecz w tym, aby ich odczyt cechowała uczciwość wyzbyta z partykularnych zacietrzewień osłabiających Rzeczpospolitą. Niestety politykierstwo, pełne werbalnych patriotycznych frazesów ogarnęło umysły rodaków. Trudno się od tego wyzwolić, ale to nie wzbrania przed racjonalną interpretacją faktów z przeszłości i współgrającymi z nimi imponderabiliami, również modelującymi w niepoliczalnym wymiarze atmosferę współczesności. To nie tylko czas Solidaryzmu i Okrągłego Stołu, ale międzywojnia, okupacji i powojnia, gdzie wolnościowe aspiracje miksowały się z prozą codzienności w klamrze rozterek: budować, sabotować, protestować, wybaczać, nienawidzić, miłować, unicestwiać, odtwarzać stare etc.
Nad niemierzalnym obszarem ludzkich losów i współczesnych pragnień usiłuje zapanować dobra zmiana, wkleszczając bieg jałowego dyskursu, ale zgodnego z partyjną wyobraźnią. Przyznać należy, że nie jest ona imponująca, bo ogarnia zaledwie egoistyczne oceny tego wszystkiego, co społeczeństwo już ma w swoim dorobku. Proces ewolucji trwa i jest niezależny od pragnień sprawujących władzę.
W syntezie osądów wychodzi, że dotychczasowy twórczy urobek narodu, to wyłączna zasługa rządów warszawskiej Nowogrodzkiej. Doszło nawet do tego, że premier rządu doznał kolejnego, satyrą trącącego olśnienia i w pedagogicznym przesłaniu złożył ofertę nauczania brukselskich partnerów o tym, co mają czynić, aby mogli wejść na polską modelową ścieżkę innowacyjno - gospodarczego rozwoju. Problem w tym, że zawiodła skromność w ocenie

efektów własnego rządzenia. Staje to w poprzek dyplomatycznej powściągliwości, ale i regułom ekonomicznych prawideł. Niby to patriotyczno – mocarstwowy odruch premiera, ale w ostatecznym rozrachunku funduje nam sarkastyczne gesty ze strony innych, podtapiając autorytet państwa. Nieszczęściem Polaków są baśniowe deklaracje prezesa i premiera. Naród myślącym jest i nie godzi się, aby wystawiać go na licytację, kiedy to rządzący, pławiąc się w ekstazie narodowej szczęśliwości ignorują nawet prosty mickiewiczowski wzorzec mierzenia sił na zamiary. Może to już skutek oświatowej reformy?

Twórcze objawienia rządzących zostały spowite imponderabiliami z czego władcy nie zawsze zdają sobie sprawę. Ważny jest dar miarkowania losów rodaków na aptekarskich szalach zainstalowanych z dala od partyjnych historyków, a zwłaszcza tych z macierzy IPN (Instytut Pamięci Narodowej), którzy w swej lojalności wobec władzy starają się moderować fakty, a więc już niezmienny, zaistniały stan rzeczy, odwdzięczając się w ten sposób rządzącym za własne istnienie. Bilans służalczości tchnie deficytem spolegliwości, o której powszechność tak bardzo zabiegał etyk i prakseolog prof. Tadeusz Kotarbiński (1886-1981).

Ordynarny zarządczy model zawiadywania państwem zafundowany rodakom, rozbija trójpodział władzy. Bliskie to niebezpiecznej formule jedynowładztwa. Tandetne partyjniactwo scalone w wodzowskim ręku, przypomina niedawny sposób administrowania Rzeczpospolitą, a był on ułomny. Sentyment do czasów minionych jednak pozostał i urasta do rangi kanonu. Staje się więc zaprzeczeniem tego, co odzyskaliśmy po niwelacji Jałty. Okazuje się, że zmiana ustroju nawet w radykalnej formule nie jest tożsama z ewolucyjnym procesem trwającym w umysłach obywateli. Równoległość i tutaj znalazła swoje miejsce. Entuzjazm rewolucjonistów jest korygowany współczynnikiem społecznej aprobaty, negacji lub obojętności wobec zaistniałego stanu. To skrótowa synteza tego, co zawładnęło umysłami rodaków. Rzeczywistości nie tworzy się od zera, bo ona istnieje od zawsze. Opokę wspierającą budowlę na niej posadowioną nie sposób zmienić. Można co najwyżej korygować fasadę, ale do tego potrzebny jest mistrz z prawdziwego zdarzenia, dla którego dobro wspólne to wartość nadrzędna, a konfliktowanie tych, którzy ten dom zasiedlają jest fatalną, niedorzeczną opcją.

Szokuje, że IPN osadzony na fundamencie archiwalnych zbiorów, głównie dawnej Służby Bezpieczeństwa (SB), w badawczych ekskursjach bezwolnie szafuje tym założycielskim depozytem, interpretując treści dokumentów wedle politycznych sugestii, miotając się w przedziale od darzenia tych zasobów pełną ufnością do absurdalnego deprecjonowania ich wartości. Stany pośrednie są marginesem. Zadziwia nonszalancja i brak roztropności, a nade wszystko niedobór uczoności w poprawnej weryfikacji dokumentów, które rzadko wychodziły spod literackich piór. Martwi prostactwo w obwinianiu autorów służbowych notatek tylko dlatego, że dzisiejsi rządowi badacze mają problemy z ich poprawnym odczytaniem i kojarzeniem z uwarunkowaniami pracy tamtych służb, wyznaczonymi potrzebami ówczesnego ustrojowego systemu państwa. Ignorowanie przez IPN tej oczywistości pogłębia nieufność wobec jego badawczych zapędów. Po wylaniu kubłów pomyj na głowy autorów dawnych dokumentów i obłożeniu ich bezpodstawnymi materialnymi szykanami (np. emerytalne restrykcje), raptem okazuje się, że w określonych politycznych zamówieniach owa twórczość jest wiarygodna, jeśli skutkuje politycznymi zaczepkami wobec krytyków kursu sterowania nawą państwa przez dzisiejszy establishment. Estymą są darzone te kwity, którymi można obedrzeć z godności politycznych rywali, i co ohydne, także tych o solidarnościowej proweniencji. Ubolewać należy, że polskie służby specjalne i wspomagający je obywatele, nie są oceniani wedle przykładowo brytyjskiej miary, gdzie pomoc instytucjom państwa jest chwalebnym wyróżnikiem. U nas gratyfikacją jest stawianie ich pod ścianą straceń wedle wyroku wydanego w trybie papierowej

maligny, olśnionej zawistną bieżącą politykierską taktyką, odległą od lansowanej mocarstwowej strategii państwa. Istnieje wątpliwość czy, aby istota patriotyzmu, tak eksponowana, została poprawnie zgłębiona przez IPN i rządzących.
PRL, podarowana nam z łaskawości Wielkich, była państwem w świecie szanowanym, co zostało odnotowane w annałach historii. Ocena meandrów jej trwania jest zajęciem dla licencjonowanych badaczy historii, oddalonych od IPN-owskich skażeń, detonujących w społeczeństwie dreszcz niepewności, także wśród umundurowanych funkcjonariuszy dzisiejszego państwa, chociażby w perspektywie ich emerytalnego bogactwa. Bezpieczeństwo państwa nie ma synonimów, ale domorośli politykierzy, w swojej nieudolności, lubują się ogrzewać uniformami. Często jednak w kryzysowych momentach dla tych formacji tchórzą, umywając ręce w geście Poncjusza Piłata, prefekta Judei (lata 26-36). Taka to już odwaga polityków. Ilustracją tego może być przykładowo niedawna breweria ministra od wewnętrznych spraw, który w nierozumieniu pełnionej przez siebie misji wykorzystał dla promocji własnej osoby w wyborczej kampanii do Europarlamentu policyjny helikopter Black Hawk o przeznaczeniu nie dla taksówkowych, lecz obserwacyjno-patrolowych potrzeb Policji, lądując na sportowym boisku podczas meczu trampkarzy. Nie wnikając w szczegóły despektu popełnionego wobec podatników, a zwłaszcza operacyjnych zadań przypisanych temu pojazdowi, to główny jego pasażer, odpowiedzialny za bezpieczeństwo obywateli, raczył oznajmić, że to nie jego wina i będzie ścigał tych, którzy wyznaczyli mu boisko jako lądowisko. Sedna sprawy nie dostrzegł, ale cóż więcej wymagać od partyjnego resortowego amatora. Podobny przypadek odnotowano, kiedy to rozsypywano z niebios konfetti ze służbowego helikoptera na głowę zastępcy ministra od wewnętrznego bezpieczeństwa, ku jego zadowoleniu. Po medialnej krytyce narcyzmu ministra, ten odważny mąż poleca ścigać podwładnych, którzy zgotowali mu to przyjęcie, z czego wówczas był bardzo zadowolony. Odwaga przełożonego dotarła do zerowego punktu. Podobnych przykładów wiele. Decydenci wybrali asekuracyjną, prymitywną metodę usprawiedliwiania swoich despektów przez pognębianie podwładnych. Nic bardziej gorszącego nie może obciążać przełożonego. Te przypadki również nie konweniują z unijnymi standardami.
Imponderabilia kumulowane przez dziesięciolecia pozostają w więzi z atmosferą dnia dzisiejszego i to bez względu na fanaberie zwykłego posła. Utopią jest, aby można było niewyszukanym torsem prezesa odgrodzić krajową polityczną aurę od równie burzliwych nawałnic światowego otoczenia. Jeśli władający państwem z rozmysłem rozbija społeczny monolit, segregując naród wedle urojonych kryteriów: pierwszy sort, drugi sort, komuniści, złodzieje, kanalie, ZOMO, wychowani na podwórkach etc., to pompowany balon patriotyzmu wiotczeje. Wyłania się problem: czy po tej obrazoburczej segregacji w ewentualnej kryzysowej sytuacji, społeczeństwo stanie w zgodnym ordynku na szańcach broniąc granic Rzeczpospolitej. Dzieje Polski dowodzą, że w takich okolicznościach suweren nie zawodzi. On nie tylko żywił, ale i bronił, wedle kościuszkowskiej kosynierskiej dewizy, zamartwiając się losami kraju, kiedy to urzędująca kamaryla z pustosłowiem o nieoddawaniu nawet guzika, troszcząc się o własne nietęgie głowy, udawała się wygodnymi wehikułami ze szczelnymi bakami na zagraniczną poniewierkę. Skutki tego opłakane. Panowie w internowanym komforcie oddawali się upokarzającej łaskawości obcych państw, bo honor się zapodział (sic!), prowadząc ambicjonalne personalne licytacje odległe od krajowej rzeczywistości. Możliwość skutecznego administrowania państwem z cudzoziemskiego oddalenia jest, była i pozostanie ułudą. Historia lubi się powtarzać, oby nie współcześnie. Ale zawłaszczanie państwa pod partyjnym szyldem szkicuje i taki scenariusz.

Imponderabilia wirują, a wśród nich prym wiedzie klasyczny zestaw bogobojnych haseł jak honor, Bóg, macierz, śmiałość, odwaga, dzielność, racja stanu etc. Nie powinno się ich używać jako maczug, ale kto tego zabroni rządzącym, jeśli rycerskie zakute głowy mają oświecać wizerunek Polski w brukselskim okrąglaku. Może wreszcie wyborcze urny doczekają się pożądanych skreśleń. Ortodoksja i partykularyzm niczego dobrego nie wróżą, poza wizją klęski.

* * *

Imponderabilia, będące duchową oprawą polskich dróg, którymi nie są wyłącznie autostrady, zasługują na szacunek. Nie mogą być przedmiotem przetargów, ahistorycznych ocen, źródłem wzniecania sporów etc. Groźna jest wszechogarniająca aneksja animuszu społeczeństwa przez rządzących, mimo że to przecież mniejszościowy głos potencjalnego elektoratu. Zastrasza tworzenie z psyche narzędzia do chłostania innych. Wychodzi na to, że egoizm oślepił roztropność chwilowych zwycięzców i stał się imperatywem marszu ku wydumanego piedestału niezwykłości. Dyskursywny obskurantyzm prawej i sprawiedliwej partii szerzy niepokój, a sztampowe publiczne ekspiacje jej prezesa rozpalają lont pod kruchym obywatelskim monolitem, któremu potrzebne są pojednawcze lepiszcza, a nie trotylowe ładunki. Okazuje się, że dla władców bliską stała się piromania z zastosowaniem starorzymskiego wyzwalacza rządzenia przez podział (łac. divide et impera). Klinowanie jedności to zator na drodze ku śniącej się prezesowi mocarstwowości. Utopia w swoich odmianach może mieć też materialny wymiar. Rzecz w tym by nie polec w miksturze fikcji i realiów. Wniosek taki, że nie wolno deprecjonować, a już na pewno ignorować dorobku poprzedników. Buta to znamię zaborców i okupantów. Warto więc szanować narodowe imponderabilia i pamiętać również o tym, że Rzeczpospolita nie jest hermetyczną wielkością, ale fragmentem globalnego układu i właściwych mu naprężeń.

Janina Łagoda